

Teksty Drugie 2001, 3-4, s. 155-159



NIE i - nie

Andrzej Biernacki

Andrzej BIERNACKI

NIE i – nie

Pamiętamy, że w połowie tego roku Czesław Miłosz ukończył dziewięćdziesiąt lat i właśnie ta okoliczność stała się pretekstem naszego tu spotkania. Co do mnie – inną, nie mniej chyba ważną, wspomnieć wolę datę: w maju przypada półwiecze ogłoszenia przez poetę jego przełomowego artykułu *Nie*, którym na łamach paryskiej „Kultury” powiadomił o swej decyzji zerwania współpracy z ustrojem Polski komunistycznej i o wielkim ryzyku, jakie ponosi pisarz wybierający życie emigranta. Skoro mi przypadło w udziale mówić o młodzieńczych mego pokolenia wrażeniach z lektury wierszy oraz publicystyki Czesława Miłosza – nie umiem i zresztą nie życzę sobie nie rozpocząć od owego pierwszego NIE.

O autorze *Trzech zim* dane mi się było dowiedzieć wcześniej, bo jeszcze w gimnazjum, mianowicie w gimnazjum we Wrocławiu. Nasza polonistka, pani Maria Przybytkowa, przed wojną nauczwała w Wilnie i wyraźnie lubiła napomknąć o swoim najwięcej rokującym uczniu. A potem był Kazimierz Wyka. On to w „Twórczości” (V, 1946) witał pojawienie się tomu *Ocalenie* recenzją zatytułowaną *Ogrody lunatyczne i ogrody pasterskie*, która się zaczynała tak: „Źródła każdej prawie poezji biją w młakach i wywierzykach, tym bardziej zawiłanych im silniejszy będzie jej nurt”. To przeczytałem sporo później, kiedy już byłem na studiach, zarazem jednak z innymi wyczynami z okresu ukazania się *Traktatu moralnego*. Na sam ten *Traktat* zwrócił naszemu rocznikowi (1950) uwagę lubiący podszkalać młodszych przyjaciół Jan Józef Lipski. Wkrótce jak on umieliśmy utwór na pamięć. Wzmianka o „rechocie Rabelego” skojarzyła mi się z Flaubertem, którym się podówczas pasjonowałem, a który w jednym ze swych listów (1898) pisał: „Doprawdy, szanuję głęboko tylko tych dwu ludzi: Rabelais’go i Byrona, jedynych, którzy pisali z zamiarem urągania rodzajowi ludzkiemu i śmiania mu się prosto w twarz. Jakże potężna jest pozycja człowieka, co zajął taką postawę wobec świata” (cytuje wedle późniejszego przekładu Wacława Rogowicza).

Niełat może być zabawą przyglądanie się *Traktatowi moralnemu* na tle współczesnej mu naszej literackiej prasy marksizującej. Oto zatem kilka próbek:

Kazimierz Brandys o *kjw*, czyli o Kazimierzu Wyce: „Po trzech latach wróżby *kjw* należy odczytywać wspak, inaczej się nie sprawdzają”. Józef Chalasiński ogłasza *Lekcję socjologii żołnierskiej – od „Pieśni o Rolandzie” do „Szosy Wołokołamskiej”*. Henryk Jabłoński troszczy się o *Sprawę jedności*, przez co rozumie podporządkowanie się macierzystej PPS wymogom PPR. Jadwiga Siekierska i Janina Preger prześcigają się w wychwalaniu Gorkiego. Niejaki pan Czernski sławi ideę spółdzielczości na wsi, nadając artykułowi swemu tytuł *Drogi sytości*. Groźny w tamtym okresie wierszopis opiewa *Białystok*; raduje się, że w pałacu niegdyś magnackim jest szpital, toteż opieki należytej zazna pewna robotnica rolna:

Ból jak pies wściekły dopadł jej w polu,
Na ściernisko rzucił, szarpnął trzewia.
Tak w majaczeniu i męce zaczął się połóg.
W chwilach przytomnych myślała: Żniw dokończyć trzeba.

Jakiś Józef Kowalczyk przypomina, że 25 lat temu dokonał się w Polsce „przewrót faszystowski”. I pośród tego wszystkiego jeden szkic ożywczy: Paweł Hertz pisze o *Pustelni parmeńskiej*.

Kwietniowy numer „*Twórczości*” z roku 1948 nie był już do nabycia. Pomysł, by *Traktat moralny* powielić dla kilkorga przyjaznych kolegów podsunął mi felieton Kisiela *Klub Czynnego Nonsensu* – wydrukowany w „*Tygodniku Powszechnym*” 6 maja 1951 r., a więc w chwili, gdy Miłoszowe *Nie* w „*Kulturze*” było już gotowe.

Namawiając do zakładania oddziałów tego Klubu, Kisiel pisał: zapytywany, po co się tym zajmować – „odpowiem, że nie mogę mu [czytelnikowi] tego dokładnie wyjaśnić, ale że w sprawę tę zamieszane jest życie ludzkie. Można też przytoczyć argumenty ogólniejszej natury, filozoficzne. Jeśli takie myśli są na świecie, jeśli uporczywie przychodzą mi do głowy, jeśli, co stwierdziła sekcja mózgu, nie jestem wariatem, to wszystko to dzieje się nie bez kozery. Myśl nie może brać się znikąd, myśl ma swoje podstawy, myśl rodzi się z faktów i wpływa na fakty”. Postępków przewidywanych przez Klub Czynnego Nonsensu członkowie jego winni się podejmować przynajmniej raz na miesiąc.

Tak właśnie w roku akademickim 1951/1952, nakładem samozwańczego, poniekąd uniwersyteckiego w Warszawie KCN, uskuteczniłszy w maleńkim nakładzie maszynopis pierwszego z Miłoszowych *Traktatów*.

O rok akademicki będący od nas niżej Jerzy Timoszewicz, dziś znany teatrolog, postanowił w 1954 r. urządzić dla polonistów swojej grupy wieczór Miłosza w Uniwersytecie Warszawskim. Upoważnił mnie, abym ten ewenement wspomniał. On sam odczytał *Traktat moralny*, po czym Ernest Bryll zapoznał słuchaczy z *Traktatem polemicznym* Witolda Wirpszy. Spośród jakichś trzydzieścioro słuchaczy nikt prócz Andrzeja Dobosza niczego przedtem o Czesławie Miłoszu nie słyszał! Opie-

Biernacki NIE i – nie

kun roku – Andrzej Lam – zachowywał się neutralnie, tak że Timoszewicz poszerzył głośną lekturę o dobrą porcję wierszy z *Ocalenia*. Zajęło to łącznie prawie dwie godziny. Pan Miłosz dowiedział się o całym wydarzeniu z listu od Timoszewicza (22 III 1997).

O Witoldzie Wirpszy wolałbym w ogóle nie mówić; przykry obowiązek nie pozwala go pominąć. Wyka lojalnie mu w „Twórczości” wydrukował jego odzew na utwór Miłosza – rzecz niespotykanie płaską. Mowa tu głównie o walce klas i jest obłudne udawanie, że dyskutant nie rozumie aluzji do Conradowego *Jądra ciemności*, czym zaś miałyby się stać bliżej nie zdefiniowane „jądro miłości” – nie wiadomo! Sam Wirpsza, nie dostrzegając autokompromitacji, przedrukował, co był wypiechcił, w swoim tomie *Polemiki i pieśni*.

My, inni czytelnicy *Traktatu moralnego* przed pięćdziesięciu laty, przerzucaliśmy się cytatami stamtąd nieustannie, zależnie od okoliczności czy natężenia terroru („Strzeż się wariatów, ci są mili...”). „Lawina bieg od tego zmienia...” tak była upowszechniona, że już wprost nie wypadało jej przytaczać. Liczyła się przestroga przed cynizmem. Najważniejsza – przynajmniej dla mnie – stała się strofa z powiewem szekspirowskim:

Oto twój świat na ostrzu miecza,
Zrywa się wiatr, na trawie wznieca
Uschniętych liści male wiry,
Gołębie się na daszek wzbily,
Zaszczekał pies, przebiegło dziecko,
Ktoś komuś daje znak chusteczką –
Oto twój świat. On jest na szali,
Politycy grę już przegrali...

Zastanawiała mnie pełna, że się tak wyrażę, świeckość *Traktatu moralnego*. Wspomniany w nim „Wszchemogący” mocno przypominał deistów. Ale przecie jest i „eremita / Co w wieży Augustyna czyta”. Wieża ta z pewnością jest z kości słoniowej; ulubione powiedzonko sztychających z przeciwnika marksistów. Sądzę jednak, że warto spytać, które z dzieł ma na myśli autor, bo chyba nie *Wyznania*, lecz raczej *Państwo Boże*; a w takim razie aluzja byłaby ciekawa.

Inny trop, którym chciałem być podążyć – zawiódł. Skoro ostatni wers *Traktatu* odwołuje się do słynnego dzieła Conrada – może i rozpoczynające utwór „ocalenie” (acz bez cudzysłowu) ma przypomnieć przedziwną powieść – lubianą przez Gołubiewa – którą Conrad pisał nadzwyczaj długo. Jej finał jest nader wymowny, dedykacja zaś nawiązuje do pobytu Conrada w Polsce: „Fryderykowi Courtland Penfieldowi – ostatniemu ambasadorowi Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w byłym Cesarstwie Austriackim – poświęcam z wdzięcznością tę opowieść z dawnych czasów – na pamiątkę ocalenia pewnych podróżnych w opalach podczas wielkiej burzy dziejowej roku 1914”. – Nic z tego nie wyszło, przekombinowałem. Przyznaję się tutaj do nieudanego pomysłu, aby unaocznic, jak po omacku, lecz ra-

dośnie szukało się wówczas – pośród zawikłań dziejowych roku 1948 – wszelkich ukrytych znaczeń Miłoszowej przestrogi.

Traktat moralny ulegał drobnym autorskim poprawkom, obrósł interpretacjami, miewa wydania na poły krytyczne. To wszystko starałem się tutaj wyrzucić z pamięci i ze świadomości. Nawet korespondencję Miłosza z Tadeuszem i Ireną Krońskimi (w książce *Zaraz po wojnie*, 1998).

Ale *Zniewolony umysł* należy jednak do dzisiejszego tematu. Ta słynna w świecie książka też kończy pięćdziesiąt lat i – moim zdaniem – wciąż nabiera wartości jako źródło już historycznego znaczenia: nad wyraz przenikliwa, zwięzła, bardzo wielostronna. Jako nowość – była przemycona do kraju w takiej liczbie egzemplarzy, która pozwalała, bym ją (pożyczoną na dosłownie jedną noc) mógł i ja przeczytać. Jej rozdział o Ketmanie o wiele mniej surowy jest dla cynizmu niż kategoriyczny czterowiersz *Traktatu moralnego*. Sporo wyrozumiałości dla Tadeusza Krońskiego pojawi się i później w szkicu *Tygrys z Rodzinnej Europy* (1959). Wszelako – na co mi zechciał zwrócić uwagę profesor Aleksander Fiut – postać Krońskiego (bez nazwiska) pojawia się też w *Zniewolonym umyśle*, w miejscu najmniej może oczekiwanym: w rozdziale o Bałtach. Przyjaciel-filozof – przebywający już wtedy nie w Paryżu, ale w Warszawie – został tu scharakteryzowany nie bez sympatii, co wiadome, ze swego rodzaju podziwem, co zaskakujące, jednakże nie brak tu i pogardy dla tchórzostwa, co widoczne.

Sam zaś o sobie Czesław Miłosz napisze w roku 1970, w Berkeley, wiersz rozpoczynający się od słów: „Ile świetnych zamiarów, ile gier i forteli...” – wiersz przejmujący, w którym gry owe i fortele, a także ich psychologiczny skutek nazywa prosto i po imieniu.

Pewne idee, zaszczerpione przez *Traktat moralny* polskiemu światu naukowemu i literackiemu, przyspieszyły u nas między innymi prace filologów klasycznych. Dzieła Tukidydesa i Herodota ukazały się w nowych (Kumanieckiego i Hammera) tłumaczeniach, w nakładzie dla całej czytającej publiczności; stało się to w latach wielkiego ugnębienia narodu: 1953, 1954. A gdy tylko nastąpiła tak zwana „odwilż” – uczeń Wyki, Konstanty Puzyna, wziął się za pobieranie do wydania dramatów Witkacego.

„Trud na miarę poezji, która nie przemija, gdy przeminą jej czasy” – tym zdaniem kończył był Kazimierz Wyka omówienie tomu *Ocalenie*, którego początek cytowałem wyżej. Dzisiaj rozporządzamy dzięki opracowaniu Rafała Węgrzyniaka wspomnieniowymi zapiskami Zbigniewa Raszewskiego *Mój świat* (1977). Sięgnijmy po raptularzowy fragment odnoszący się do *Traktatu moralnego*. Scena z domu Polskiej Akademii Nauk w Zawoi:

Wyka rozgadał się. Dość długo i bardzo ciekawie opowiadał o pierwszej „Twórczości”, tej, którą założył i redagował w Krakowie zaraz po wojnie w latach czterdziestych. O tym, jak się współpracowało z Marią Dąbrowską. O *Traktacie moralnym* Miłosza. Że przeczytał go przerażony. Nie miał wątpliwości, po pierwszej lekturze, że ma w rękach arcydzieło, ale arcydzieło, które cenzor odrzuci albo, co gorsza, potnie. Co robić, jeśli potnie? Z ciężkim

Biernacki NIE i – nie

sercem, jak twierdził, oddał Wyka poemat Miłosza do druku, drżącymi rękami rozkładał egzemplarz odesłany z cenzury. Nietknięty. [s. 108-109]

Przypuścić wolno, że cenzor nie był idiotą. Tekst *Traktatu moralnego* dawało się ostatecznie wybronić dzięki jego daleko posuniętej aluzyjności. Inaczej było potem z *Toastem*, rąbiącym pewne oceny całkiem wprost. Bardzo warto czytać szkice o naszym współżyciu z socrealizmem Zdzisława Łapińskiego. Ten wyśmienity krytyk, zawsze nienagannie rzeczowy, odznacza się stylem nie do podrobienia: pisze z chłodną żarliwością.

Wracając do *Traktatu moralnego* – czyta się ten utwór i dziś, żywo nań reagując. Podobnie jak kiedyś, wcale nie z przekory, lecz z przekonania, wziąłbym w obronę tyle przez autora wyszydzaną krainę – jak on ją zwie – „mętnych wzruszeń”. Nie takie one mętne, skoro z zaczynu właśnie tradycji, jej obrony wynikają doniosłe zrywy społeczne. Zżyłam się niekiedy na Miłosza, gdy na przykład w „Plusie – Minusie” ukazuje się jego wywiad, w którym podkpiwa z Goszyc, gdzie był zaształ ziemiańskiej gościnności i gdzie napisał kilka swoich pięknych wierszy – jak chociażby *Los*. Zabawne, że Ludwik Hirszfeld w swych wspomnieniach, dotyczących okupacji niemieckiej podczas ostatniej wojny, sympatyczniejsze daje odczucie atmosfery szlacheckiego dworu aniżeli poeta znający takie dwory od pokoleń. Nie tylko poeta, ale przecież i świetny znawca całej naszej literatury pięknej. Cóż na to poradzić, że nie znosi Józefa Weysenhoffa!

Pewna, taktem miarkowana, przewrotność, byle się nie zdradzić ze swoją wrodzoną dobrocią, nierzadki bunt przeciwko wartościom skądinąd szczerze uznawanym – i te, i inne sprzeczności Czesław Miłosz zna sam najlepiej. W trudnym okresie swego życia dał temu wyraz, pisząc w roku 1960:

A gdyby tylko gwiazdy zamykały mnie
I gdyby tak się zwykle odbywało,
Że jest tak zwany świat i tak zwane ciało.
Gdybym chciał być nie-sprzeczny. Ale nie.

[*Co znaczy*]

Owo drugie „nie” – napisał także po angielsku i pokazał całemu światu.